

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 28 M. 50 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 (dom własny). Telefon Nr. 479

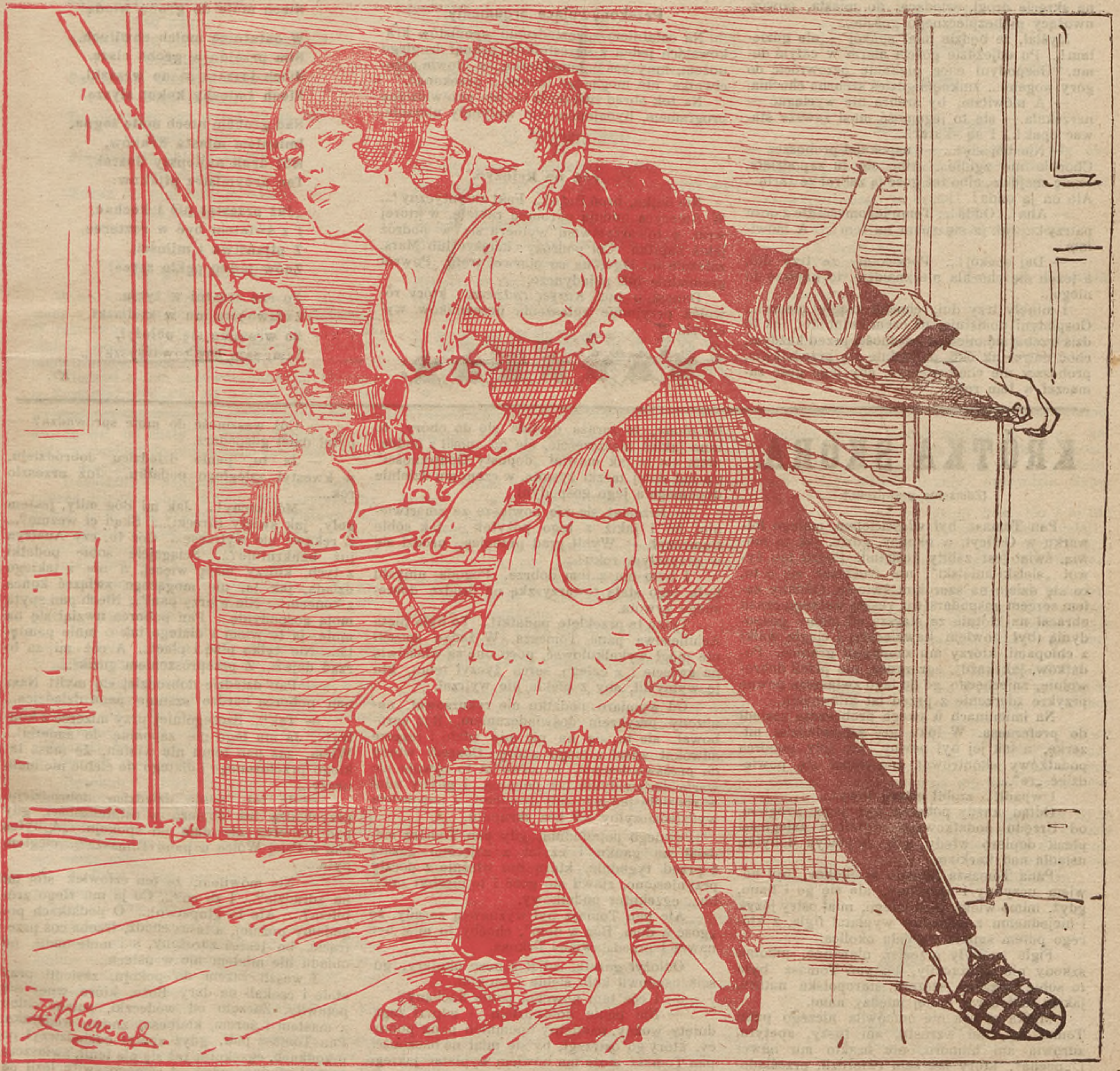
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 2·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 3, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 4·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 12.

Numer pojedynczy 5 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 5 Marek.



PRZYKŁAD IDZIE Z GÓRY!

Lokaj: Rózio! Gdyby nasz pan był na mojem miejscu nie broniłabyś mu się z pewnością!

Pokojówka: Gdyby nasza pani była na mojem miejscu, nie broniłaby się panu Kajetanowi!



Straszne zdarzenie z srebrną chochlą.

Ksiądz proboszcz wezwał gospodynią i zawiadomił ją, że jutro spodziewa się odwiedzin jednego z księży z miasta, człowieka bardzo wykształconego, ale znanego z złośliwości.

— Niechajże zatem będzie wszystko jak się patrzy — mówił proboszcz — aby nie miał powodu do kpin. Obiad porządny, zastawa srebrna!

Gospodyni starała się przekonać proboszcza, że ze srebrną zastawą lepiej sobie dać spokój, rozporządzenie jednak było nieodwołalne i, chcąc nie chcąc, musiała się doń zastosować.

Nazajutrz odbyło się wszystko według programu. Gość przyjechał, zabawił kilka godzin i odjechał. Proboszcz odetchnął, gdy ujrzał już na skręcie drogi, wiodącej do miasta, powóz, uwożący niebezpiecznego gościa...

Myślał, że będzie miał spokój — ale gdzietam!... Po odjeździe gościa alarm w całym domu. Gospodyni chce plebanię przewrócić do góry nogami... zniknęła gdzieś srebrna chochla.

— A mówiłam, by srebra nie wyciągać — narzekała — ale to jegomość musi zawsze stawać opak!... I są skutki!...

— Nie bój się!... — uspokajał proboszcz — Chochla nie zginie... Albo się tu zapodziała, to się znajdzie, albo też gość ją zabrał ze żartu... Ale on ją odda!

— Aha!... Odda!... Temu jegomości źle z oczu patrzy!... Już ja się znam na tem!... A mówiłam...

— Daj spokój!... Poczekamy ze trzy dni, a jeżeli się chochla nie znajdzie, to napiszę do niego...

I minęły trzy dni, chochli ciągle niema!... Gospodyni pomstuje, na czem świat stoi, jak to dziś trzeba się mieć na baczności przed każdym, choć nawet na oko porządnie się przedstawia, proboszcz nie chce wierzyć, aby jego gość zamaczał w tem ręce.

Ale trudno. Gdy w czwarty dzień chochli nie znaleziono, napisał do swojego gościa list tej treści:

„Kochany Księże Bracie!

Nie oddać chochli przez jeden dzień, to żart, przez dwa dni, to kiepski żart, a przez trzy dni, to świństwo! Proszę o odesłanie srebrnej chochli, o którą mi gospodyni suszy głowę.

Sługa w Chrystusie

X. Y...“

Nazajutrz nadeszła odpowiedź następująca:

„Wielebny Księże Proboszczu!

Nie spać w swojem łóżku przez jedną noc, to żart, przez dwie nocy, to kiepski żart, a przez trzy, to już, zwłaszcza dla osoby duchownej, świństwo. Chochla jest pod prześcieradłem w łóżku Księdza Proboszcza...“

Można sobie wyobrazić, jaką minę zrobił proboszcz, czytając te słowa, a gospodyni, znajdując chochlę we wskazanem miejscu.

— Ma racyę gospodyni — mówił proboszcz do siebie — że jemu źle z oczu patrzy!...

Pytanie, gdzie ksiądz proboszcz spał przez trzy nocy z rzędu, stwierdzono bowiem, że w tym czasie z domu nie wyjeżdżał!...

Przekonywujące argumenty.

Na ostatniem zgromadzeniu syonistów krakowskich jeden z uczestników pchnął drugiego nożem, inny zaś połamał laskę na głowie przeciwnika, nie mogąc go inaczej... przekonać.

Na tok obrad zdarzenia te, nie przewidziane programem, bynajmniej nie wpłynęły ujemnie.

Podróż na księżyc.

Nie bajka, broń Boże!... Fakt autentyczny!... W Ameryce budują ogromną rakietę, w której wraz z towarzystwem wybiera się w podróż jakiś kapitan. Cel podróży: księżyc lub Mars, zależnie od tego, na co pierwej trafi. Powrót gremialnie lub pojedynczo.

Donosi o tem *Kuryer codzienny*, który również przyjmuje zgłoszenia uczestników wycieczki.





Mój testament.

Ostatniej mojej woli,
Dochować proszę święcie;
Ja sobie taki pogrzeb
Waruję w testamencie.

Przy zwłokach mych należny
Ma honor być oddawan;
Pijacy co najlepsi
Niech ciągną mój karawan.

Wyzywające strojem,
Bezecelne swą urodą,
Kokoty najpiękniejsze,
Niech mnie do grobu wiodą!

W ostatnich moich chwilach,
Nim przejdę w grobu ciszę,
Niech jeszcze pijane wrzaski,
Niech śmiechy kokot słyszę.

Nad grobem niech mnie żegna,
Imieniem miasta Kraków,
Mój druh najlepszy Gustek,
Ten arcymistrz pijaków:

„Już przestał pić i kochać,
I z światem być w rozterce,
Z pijaństwa i miłości,
Znów jedno pękło serce!

Po raz ostatni w życiu,
Zadzwońcie mu w kieliszki,
Bo wreszcie się położył,
Sam, sam bez towarzyszki!...“

Kr.

KRÓTKA SKÓRA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Pan Tomasz, był właścicielem małego folwarku w Galicyi, w okolicy, gdzie, jak to mówią, świat jest zabity deskami. Pędził ten żywot „sielski-anielski“, nie troszcząc się o to, co się dzieje na szerokim świecie. Oddany całem sercem gospodarstwu, resztę wolnego czasu obracał na kłótnie ze starszą od siebie gospodynią (był bowiem kawalerem) i ciągłe walki z chłopami, którzy mu zaorywali granice. Podatków, jak każdy agraryusz, nie płacił dobrowolnie, zniechęciło go do tego zwłaszcza pewne przykre zdarzenie z przed lat kilkunastu.

Na imieninach u swego proboszcza zasiadł do preferansa. W toku gry zapowiedział mizerkę, a tak jej był pewny, że, gdy poborca podatkowy skontrował, nie wahał się powiedzieć „re“...

I wpadł!... zrobił cztery lewy!...

Odtąd każdy poborca był jego wrogiem, od Urzędu podatkowego stronił a zaległości płacił dopiero wtedy, gdy licytacya dobytku usiadła nad karkiem.

Pana Tomasza lubiano w okolicy, był bowiem uczynny i uprzejmy, ale się go i bano, gdyż, mimo wieku podeszłego, miał ostry język i niejednemu z sąsiadów wypłatał figla, z którego potem śmiała się cała okolica.

Figle te były przecież niewinne, nikomu szkody nie wyrządziły, bo pan Tomasz była to sobie uczciwa szczera staropolska natura, jakich dziś coraz mniej między nami.

Matka natura nie odmówiła niczego panu Tomaszowi, ani wzrostu, ani tuszy, apetytu, zdrowia ani humoru, nie brakło mu nawet i „pecha“, który jak sam twierdził, prześladował go od samego urodzenia. To mu grad wybił plony, to zaraza dostała się do obory, to inne jakieś nieszczęście, ale on znosił z poddaniem się te jak mawiał „dopusty Opatrzności“ i pchał dalej taczki żywota, w czem mu dzielnie dopomagała jego gospodyni.

— Przecież się nie powieszę ze zmartwienia, bo i jakiż z tego pożytek — tak sobie tłumaczył. — Wybił grad przenicę, urodzi się w przyszłym roku!...

I było mu z tem dobrze. Pogoda umysłu była jego stałą towarzyszką na drodze doczesnego żywota.

Tylko te przeklęte podatki!... To była pięta Achillesowa pana Tomasza. W żaden sposób nie mógł wykalkulować, poco one są właściwie na świecie i z całego serca życzył temu, kto je wymyślił, aby z piekła nie wyjrzał.

Od wymiaru podatku nie rekursował, nauczony przykrem doświadczeniem. Raz spróbował, ale to się na nic nie zdało i jeszcze adwokat zdarł z niego skórę. Doszedł wtedy do przeświadczenia, że adwokat to równie nic warte indywiduum jak poborca. I gdyby miał w rodzinie jednego lub drugiego, z pewnością wydziedziczyłby ich bez skrupułu.

Pewnego popołudnia, gdy pan Tomasz siedział na ganku i czytał z zajęciem gazetę z przed tygodnia, którą mu właśnie z poczty przyniesiono, zjawił się gość i to niezbyt miły, bo... egzekutor podatkowy.

Ale pan Tomasz był wyznawcą zasady, że „gość w dom, Bóg w dom“, choćby to miał być nawet i przedstawiciel fiskusa.

Odłożył gazetę, zdjął z nosa okulary, gościa usadowił koło siebie i zapytał.

— I cóż tam nowego, panie kochany?

— Nic panie dobrodzieju — odparł zagadnięty woźny, pamiętny upomnień pana poborcy, który go ostrzegł, by się miał na baczności, pan Tomasz może mu bowiem wypłatać jakiego figla.

— Cóż waszmość do mnie sprowadza? — pytał dalej gospodarz.

— Ja tu, panie dziedzicu dobrodzieju, w kwestyi zaległego podatku... Już przeszło rok...

— Mój zacny!... Jak mi Bóg miły, jestem goły, jak święty turecki!... Skąd ci wezmę?... Z rękawa nie wytrzęsę... Cóż to, czy Austrya już bankrutuje?... Ściągajcie sobie podatki z tych, którzy mają więcej, a nie z takiego dziada, jak ja, nie mogącego związać końca z końcem!... Nie wierzy pan?... Niech pan spyta moją gospodynię... Pan poborca uwziął się na mnie, ja to wiem i dlatego tak o mnie pamięta... Nic tylko płać i płać!... A cóż mi za to rząd daje?... Z przeproszeniem guzik!...

— Pan dziedzic dobrodziej się myli! Nasz pan poborca bardzo szanuje pana dziedzica...

— Tak!... Szczególniej przy mizerce z kontrą!... Ja mu tego nie zapomnę do śmierci!... Wiem, zaś pan temu nie winien, że masz takiego przełożonego i dlatego do ciebie nie mam urazy...

— Ja też, panie dziedzicu dobrodzieju, przychodzę też dopiero w ostateczności, gdy pan poborca nie daje mi spokoju. „A byłeś pan w Psiej Wólce u pana Tomasza?... ciągiem pyta...

— Nie mówiłem, że ten człowiek stoi mi na zdradzie?... I za co?... Co ja mu złego zrobiłem?... Ale to głupstwo!... O podatkach pogadamy później, a teraz chodź, trzeba coś przetrącić, bo jesteś zdrożony, a i mnie mdli, od obiadu nie miałem nic w ustach...

I weszli razem do pokoju, zasiedli przy stole i czekali na dary Boże, które wnet się pojawiły. Zaczęto od wódeczki, potem chleb z masłem i serem, kiełbasa, znowu wódeczka. Pan Tomasz jadł, gdyż apetyt odziedziczył po przodkach, egzekutor też się nie lenił, zwłaszcza że był głodny, gdyż od samego świtu łaził od



Z melodyi ludowych.

Siedzi Kaśka na przypiecku
I przędzie.
Duma, duma i rozmyśla
Co będzie?
Ojże Kaśka, nie inaczej,
Jak wszędzie,
Przyjdzie Wojtek, ożeni się
I będzie.
Siadła wrona, czarna wrona
Na płocie,
Nie wierz chłopcu, chłopcu nie wierz
Niecnocie.
Gęga gąsior kiele gęsi
Oj gęga,
A chłop nie chce być w chałupie
Ciemięga.
Powiadała dziewka dziewce
Przy studni,
Że pierwszy raz wziąć go za łeb
Najtrudniej.
Ale gdy się chłopa za łeb
Już złapie,
Można na nim jeździć, kiejby
Na szkapie.

Co go uratowało?

Wyroki sądu doraźnego bywają wykonywane z zasady w trzy godziny po ogłoszeniu. W przeciwnym razie, to jest, gdyby z powodu jakiej przeszkody nieprzewidzianej, musiały uledz zwłoce, tracą swój walor.

Wiedział o tem zapewne bandyta, skazany w Krakowie niedawno na śmierć. Gdy mu bowiem ogłoszono wyrok i zapytano, czy ma jakie ostatnie życzenie, odpowiedział:

— Chciałbym otrzymać należący mi się przydział cukru za czerwiec...

Uważając to za drobiazg, łatwy do przeprowadzenia, zgodzono się nn spełnienie ostatniego życzenia skazańca. Jakież jednak było zdziwienie sądu, gdy się dowiedział, że obecnie wydano cukier za styczeń i pierwszą połowę lutego, na przydział zaś za czerwiec trzeba długo czekać.

Sąd polecił, aby zrobiono wyjątek, magistrat, jako władza rozdzielcza, oświadczył, że żadnych wyjątków nie zna, a przy rozdziale panować musi porządek.

Bandyta chwali sobie ten porządek i czeka cierpliwie na swój przydział, oświadczając, że się nie zgniewa, choć nastąpi jakie nieprzewidziane opóźnienie.

Nasze dzieci.

— Panie Karolu! — mówi mały Jaś do gościa. — A dlaczego pan nosi cały kapelusz?

— A jakiż mam nosić?... Podarty?

— Nie!... Ale pan powinien nosić tylko pół kapelusza!

— Pół?... A to dlaczego?

— Bo mama powiedziała wczoraj do taty, że pan Karol to jest półgłówek!... A na pół głowy to potrzeba tylko pół kapelusza!

O Niemcach.

Jak się okazuje z angielskiej gazety,
Psie mięso to w Niemczech przewyborne wety
Jedzą go dorośli, niewiasty i malce
Po tym smakołyku oblizując palce.
Dziwić się jedynie w tym razie należy,
Że, gdy gust do mięsa pieskiego się szerzy,
Niemcy, co nas gryząc, psie instynkty mają,
Nawzajem do kostek się nie pozjadają.



Oświadczyny cyklisty

do Maryli.

Wodzisz luba wzrokiem pięknie,
Aż mię dreszcz przenika,
Jeśli kłamię, niechaj pęknie
Moja pneumatyka.

Twoje usta — róż kielichy —
Ah! kocham je szczerze,
Jeśli kłamię niech mi szprychy
Pękną przy rowerze!

Twoje oczy — to dwie świece,
Bez żadnych omamień —
Jeśli kłamię — niech polecę
Z roweru na kamień!

Chwalić piękność twą dziewczyno
Słów mi braknie w mowie —
Jeśli kłamię — niech z maszyną
Unurzam się w rowie.

Kocham Cię jak osioł dziki,
Widząc twe powaby,
Niech tak jadąc na Dębniki
Przejadę dwie baby.

Teo. N.

Źle zastosował.

Pan Kohn wpadł w wściekłość, gdy mu Pufeles powiedział spokojnie lecz stanowczo:

— Panie Kohn! Pan się potrzebuje uważać za wyrzuconego za drzwi!

— Kto?... Ja?... — wołał.

— Tak!... Pan!... brzmiała odpowiedź.

— A przez kogo?

— Przezemnie!...

— Tak?... Dobrze!... A pan niech się uważa za pocałowanego!...

— Przez kogo?...

— Przezemnie!... Tak jest!... Przezemnie!... Ja sobie bezkarnie uchybiać nie pozwolę!...

wsi do wsi, od chaty do chaty. Zresztą był on przyzwyczajony do sumiennego spełniania czynności urzędowych.

Gawędzili w najlepszej komitywie, nikt — widząc ich obu obok siebie, nie przypuściłby nawet, że to wróg fiskusa i jego przedstawiciel...

I ilekroć egzekutor chciał rozmowę skierować na zaległości podatkowe i sięgał po torbę, przerywał mu pan Tomasz słowami:

— Mamy czas na to, łaskawco!... Po kolacyi o tem pogadamy... Bo bez kolacyi nie puszczę cię z domu!...

Gość nie oponował, bo i poco?... Dobrze mu tu było, zresztą pan poborca kazał się w niczem panu Tomaszowi nie sprzeciwiać.

Na kolacyę były doskonałe pierogi z serem, naturalnie zakrapiane należycie wódeczką znalazła się i flaszczyna miodu. Pan Tomasz wziął sobie już na salaterkę mleka kwaśnego i kopiasty talerz kartofli, twierdząc, że mu to do zdrowia potrzebne bo to „pędzi gazy"...

Egzekutor byłby się może i dał namówić na mleko, ale już nie mógł. Był pełny.

Ciemno już było, gdy skończyli kolacyę. Egzekutor chciał przystąpić do omówienia kwestyi urzędowej, ale pan Tomasz zamknął mu zaraz usta:

— Jutro o tem pogadamy!... Przecież cię na noc nie puszczę, bo w okolicy są wilki, a koni nie dam, bo zmęczone są robotą...

Gość nie gniewał się o to, zwłaszcza że nazajutrz miał dalej urzędować w sąsiedniej gminie i wolał przenocować zadarmo we dworze, niż za pieniądze w karczmie u żyda, lub w stodole u chłopa.

Udali się wreszcie na spoczynek do pokoju pana Tomasza.

— To tylko bieda, że będziesz musiał waszmość spać w jednem łóżku ze mną — mówił gospodarz — bo kanapy nie mam. Ale zmieścimy się... To małżeńskie łoże mych świętej pamięci, świeć Panie nad ich duszami, rodziców...

— Gdzież śmiałbym razem z panem dziedzicem! — bronił się egzekutor. — Mogę się położyć na jakim dywaniku na ziemi, albo w stodole.

— Co ci też w głowie! — odburknął pan Tomasz. — A cóż powiedzieliby na to moi przodkowie, że tak przyjmuję gościa...

I wskazał na szereg zakurzonych obrazów, zdobiących sypialnię.

Trzeba się było zgodzić, zwłaszcza że pan poborca polecił mu sprzyjać.

Łóżko w samej rzeczy było familijne, prócz nich dwu było dość miejsca jeszcze i dla kilku osób. Egzekutora ulokował pan Tomasz od ściany, sam położył się na brzegu, aby mógł o świcie, nie przeszkadzając gościowi, wstać do rannego podoju.

Rozmawiali jeszcze, na dobranoc rzekł pan Tomasz:

— Zapomniałem jedno powiedzieć waści. Mam trochę krótką skórę, ale sobie z tego nic nie rób...

Gość słów tych nie zrozumiał. Co go zresztą mogła obchodzić krótkość cudzej skóry.

Niestety, wkrótce przekonał się, że był w błędzie.

Swiatło zgasło, nastała cisza, słychać było tylko głębokie oddechy obydwu, zasypiali... Nagle doszedł uszu egzekutora jakiś dziwny odgłos, jak gdyby oddalonego grzmotu, potem rozeszła się woń spalonego puchu.

Zrozumiał, co to było i powiedział sobie, że to ludzka rzecz, zwłaszcza, gdy sobie przypomniał apetyt pana Tomasza.

Po chwili drugi taki grzmot, zaraz po nim trzeci, czwarty i tak dalej w nieskończoność... Gdyby spał od strony pokoju, mógłby łoże opuścić, mając jednak miejsce od ściany, bał się, by nie obudzić gospodarza, który poprostu zamienił się w karabin maszynowy, wypuszczający w jego stronę strzały, wprawdzie ślepe, ale nie zbyt przyjemne.

Odwrócił się na drugi bok, ale i to nic nie pomogło... Pan Tomasz grzmiał dalej!... Takiego „ataku gazowego" przy ogniu huraganowym nie powstydziłby się nawet Hindenburg...

Wreszcie było mu tego zadużo. Najostrożniej, jak tylko umiał, wylazł z łóżka poomacku, by noc przepędzić bodaj na stołku, byle zdala od gospodarza, ale ten właśnie się obudził, gdyż zapytał:

— A co?... Waszmości niewygodnie?...

Nie odpowiedział, ale w duchu przeklął tę chwilę, w której zdecydował się tu na noc zostać.

— To nie moja wina łaskawco — mówił dobrodusznie pan Tomasz. — Zapowiedziałem, że mam „krótką skórę"... Niech tylko zamknę powieki, zaraz otwierają się inne otwory cielesne...

Teraz dopiero zrozumiał egzekutor co to znaczy „krótka skóra", noc spędził na krześle i przysiągł sobie, że już nigdy nie da się namówić do spędzenia nocy pod gościnnym dachem człowieka, mającego „krótką skórę".





— Czy i mnie wolno wejść za tę kotarę?
— Pomów pan z moim mężem, który jest tam właśnie!



— Czy to dostateczna asekuracya od upadku?
— Zależy od upadku!



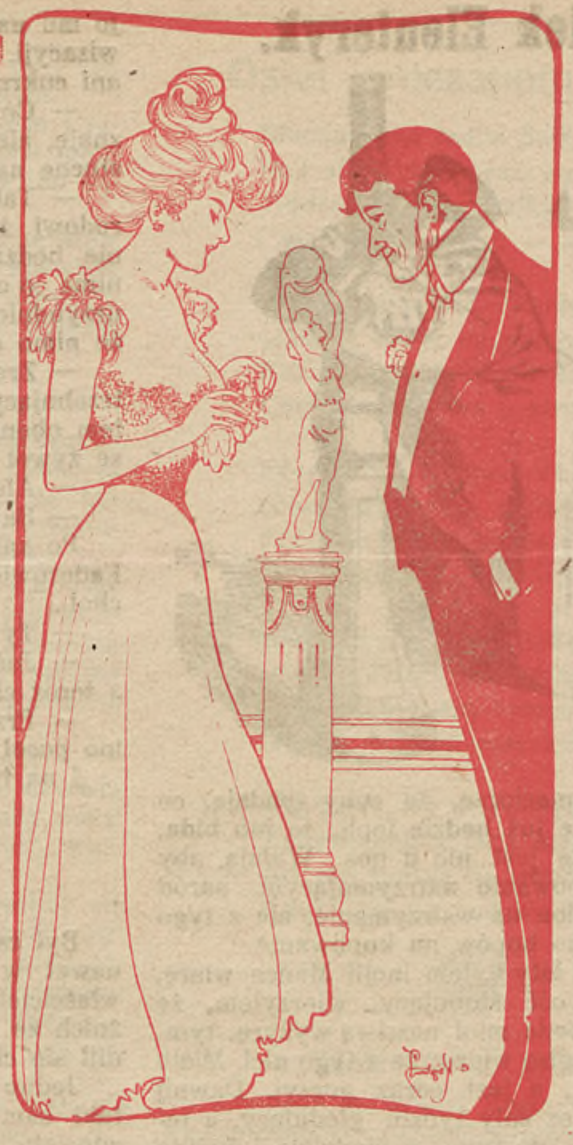
— A to bałwany!... Uważają mnie widocznie za uczciwą kobietę!



Dama (chcąc usiąść przy stoliku): Czy wolny?
Pan: Nie! żonaty!



— Saluszu!
— Co Izydorku?
— Interes źle stoi!... Plajta!



— Nieprzyzwoita rzeźba!.. Dziewczyna bosa
— Cóż w tem złego?
— Bosa aż do szyi!



— Czy pani przyjmuje?
— Począwszy od 300 marek w górę!



O moją miłość nie pytaj kwiatka,
Bom ja kawaler, a tyś mężatka.

Ferdek Eleuteryk.



Grypsają szmaciorze, że ceny spadają, co jest znakiem, że już bedzie lepij, to ino bida, że owo spadanie jest nie u nos. Wełają, aby się być od kupowanio wstrzymującym, naród ich słucho i wzion na wstrzymanie, ale z tygo powodu, że nimo hopów na kupowanie.

Kiedy przed laty byłem mojij Mańce wiarę, miłość i uczciwość ślubujący, wierzyłem, że bez tę miłość bede mioł uczciwą wyżyrę, tymczasem teroz dopiro widze, że z tygo nici. Miało być coraz lepij, a jest coraz gorzyj. Dawnij był człowiek bez cały tydziń głodujący, a teroz jest jeszcze do tygo w niedziele i świnta pragnienie cierpiący, bo międzynarodowy obewatel nie jest krowa z przeproszyniem, aby mioł być wodę chlapiący.

Mieliśmy przedtym krajowy chlib z zakalcem, teroz momy romuński z chrobokami, aby się możno posilić, skoro minso takie drogie. Ale nie kużdymu taki specyjoł smakuje, coroz wincyj miendzy nami jaroszów.

W domu trza być pociemku siedzący i wszystko poomacku robiący, bo nima kanfiny. Przychodzi skróś tygo do niszczyńśliwych wypadków. Niedawno jeden z moich koligów był trochę późnij do chałupy wracający i bez pomyłkę zamiast żonę, pocałowoł teściowę. Skutek był jak po gorzkij wodzie, ale była potrzebno wtedy, gdy sie grzyszyło obżarstwem, ale nie dziś.

W tamtą niedzielę, gdym głodny i pragnący wrócił do chałupy, tako mnie szewsko pasyja chyciła, że postanowiłem skończyć życie samobójstwem i napić się wody. Knajem do wodociągu, ale on zamiast siknąć, ino gwizdnął.

To mnie jeszcze bardzij zgniwało. Zaroz na drugi dziń rznę do pana pryzydenta.

— Co powisz, Ferdek? — pyto pon pryzydent, bo my sie bardzo lubimy i jesteśmy nawet „przez ty", to jest jo mu godom „panie", a on mnie „ty".

— Ano — jo mu na to — przyknajołem tu w dupetacyji, aby się użalić. Tak dalij być nimoże. Ani co frygnąć, ani cycnąć, nawet w niedzielę, któro jest od tygo i dlatygo nazywo się „dziń Pański", aby się kużdy mógł być w pana zabawiający. A tu tymczasem tako nędza, że moje kichy wydają z przeproszyniem cieńsze głosy i żałośnijsze, niż baranie...

— Jo ci na to nie poradzę!... Od tygo są ministry...

— Tak!... Ale pon jest poseł, to pon może z nimi pogwarzyć na rozum... Jo skróś tygo tutoj przyknajołem...

— Toś się źle wybrał!... Posłem jestem w Warsiawie, a tu pryzydentem... Najlepij zrobisz, jeżeli sam pojedziesz do Warsiawy...

Mnie nie trza dwa razy prosić. Tygo jeszcze dnia zapakowołem czysty kołnirzyk i smarkatkę do pudełka od cygarów i jazda do Warsięgi, do ministrów. Musiołem się spieszyć, aby ich zastać jeszcze, bo pono pan Skulski idzie na świży luft, a nastanie gabinet ze samych biedroniów.

W Warsiawie zaczonem od **a**, to jest od aprowizacyji.

Pon minister bardzo aligancki gawer, pyto mnie:

— Z kimże okoliczność?

— Jestem Ferdek Eleuteryk z Krakowa — jo mu na to. — Przyknajołem tu skróś aprowizacyji. W Krakowie nima nic, ani chleba, ani cukru...

— Co do cukru — przerwał — to przyznaję, ale jo cukru potrzebuję na zamianę za štucne nawozy...

— Tak!... To waszo gospodarka! Dajcie narodowi żarcie, jak się patrzy, bedzie nawóz, nie bedzie trza štucnych... Ale czymże, jak nima po czym... Moja ciotka, co jest majestracką urzyndniczką w podziemiach Sukiennic, godo, że nimo co wziąść w gębę...

— Zresztą i minister Grabski jest cukru potrzebujący, dla legularności naszyj waluty... Zatem obendźcie się tymczasem smakiem, potym se żywot osłodzicie...

— Ale kiedy?

— Ba!... Żebym to wiedzioł...

Po audyjencyji spotykom pana pryzydenta Federowicza. Knaje do Syjmu, bo i on przyjichoł...

— Ty już tu?... — pyto.

— Juści... Godołem z panem ministrem, a teroz chciołbym pana prezydenta...

— Przeproszom cię!... Jo tu nie pryzydent, ino poseł!... Adje!...

I na tym my skończyli.

Konkurencya.

Był raz sobie w jakiemś tam mieście, może nawet w Krakowie, bardzo pobożny żydek, właściciel sklepu galanteryjnego. Obdzierał bliźnich ze skóry, majątek swój zaokrąglał i modlił się ciągle, by kiedyś zostać milionerem.

Jedno go tylko gryzło. Naprzeciwko miał taki sam sklep jego kolega i ciągle mu się zdawało, że tamten robi lepsze niż on interesy. To go prześladowało w dzień, a trapiło w nocy (pluskwy też!... prz. zecera). Nocne widziadła miały stale twarz konkurenta z przeciwka.

I zlitował się Pan Bóg nad biednym żydkiem i posłał doń swego anioła, który rzekł:

— Wysłuchane są twe prośby, znalazłeś łaskę przed obliczem Pana!... Co zapragniesz, to się stanie.

Żydek, nie posiadając się z radości, zaczął się zastanawiać, jakie postawić żądanie. Myślał o tem i o owem, ale wszystko było mu za mało.

Rozmyślania przerwał mu anioł słowami:

— Aha!... Zapomniałem ci jednak powiedzieć, że i sąsiad z przeciwka także jest pobożny, modli się goręcej niż ty i prośby jego zostały też wysłuchane. Ty masz pierwszeństwo. Dostaniesz, czego zażądasz, lecz Salomon otrzyma dwa razy tyle...

Ta brudna konkurencya nawet i na tem polu oburzyła żydka do żywego, rzekł też bez namysłu, mając ciągle sąsiada na pamięci:

— Panie aniole!... Ja proszę, abym oślepnął na jedno oko.. Ale zaraz!...

Bluźnierczy paskarz.

Jeden masarz-drań z Floryańskiej,
Jako wszyscy ci paskarze;
W Boże Ciało przed swym sklepem,
Wybudował dwa ołtarze.
Gdy to święty Piotr zobaczył,
Dyżurnego wnet anioła,
Każe przyzwać do raportu,
I do niego tak zawoła:
„Ezechielu! pędź na ziemię!
Bo czy widzisz? Na Floryańskiej,
Ołtarz Bogu nieprzyjemny,
Wybudował paskarz drański!"
„Ezechielu pędź na ziemię,
Ołtarz zburz i skarz bluźniercę,
Paskarzowi mordę nabij,
Niech szlak trafi w jego serce!"
Rzekł Ezechel: Nie ma głupich!
Ja masarskie znam uczynki!
Ten łotr gotów mnie zadydać,
I z anioła zrobić szynki!...

Nieznanka.

(Ballada, poprawiona z Mickiewicza).

Jakiż to chłopiec tęgi i młody,
Jakaż to obok dziewica;
Srodkiem żydowskiej idą gospody
Sam pan arendarz przyświeca.
On jej z zanadrza daje wędliny
A ona mu obwarzanka,
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny
Pewnie to jego kochanka.
Codziennie prawie o jednej porze
Tutaj się schodzą tajemnie,
Chłopiec jest kuchtą w tutejszym dworze,
Kto ona? — pytam daremnie.
I kochankowie za stół usiedli,
Arendarz świeczkę postawił,
I wyszedł za drzwi — a oni jedli
I głośny dyskurs ich bawił.
A w tem za drzwiami ozwą się gwary
I z trzaskiem drzwi się otworzą
I przed oczami miłosnej pary,
Znane postacie się srożą...
To stary kuchmistrz z zgrają czeladzi,
Co zapał serca ich mrozi,
Sam arendarza za czub prowadzi,
A laską — kochankom grozi...
I rozerwali tem wejściem brzydkiem
Kochanków związek niewinny,
A co się działo z nimi i z żydkiem,
Niechaj opowie kto inny.
Bo chociaż głosić mistrza dzieje
Jest to poety powinność,
Ale mi język kołowacieje,
Widząc zgnębioną niewinność.

Mądra Mania.

Mania po powrocie ze szkoły od godziny szuka czegoś w atlasie geograficznym. Na zapytanie, co jest przedmiotem poszukiwań, odpowiada:

— Profesor wykładał nam, że Mormoni żyją w *poligamii*. W żaden sposób nie mogę nigdzie znaleźć tego kraju!

Znam go dobrze.

U państwa X-ów toczy się przy herbacie rozmowa o różnych dolegliwościach życiowych. Pan domu narzekał na różne zdaniem jego niemądre zarządzenia, głównie zaś na zakaz sprzedaży alkoholu w niedziele i święta, kiedy się ma właśnie najwięcej czasu i ochoty, pani na trudności aprowizacyjne, drożyznę i t. d. Pan Karol, przyjaciel domu, słuchał uważnie wywodów obojga i stale im przytakiwał.

W ciągu rozmowy zauważył pan domu:

— Takie, psiakrew, ciężkie czasy, że nie byłoby od rzeczy wystarać się o jakie dobrze płatne zajęcie, bo dochody z kamienicy i procentów tylko z biedą wystarczą na życie!

A pan Karol na to z uśmiechem:

— Miałbym dla pana radcy bardzo miłe a rentowne zajęcie!

— Cóż takiego?

— Czytałem wczoraj, że sułtan turecki abdykował, nie mogąc przyjąć warunków traktatu pokojowego, jakie mu koalicya podyktowała! Może radca dobrodziej miałby ochotę kompetować o tę posadę...

— Także pomysł powiada pani radczyni. — Mój mąż sułtanem tureckim!... Chyba pan wie o tem, panie Karolu, że sułtan ma swój harem i przedewszystkiem obowiązki urzędowe wobec niego... A mego małżonka miałam już sposobność poznać i mogę pana zapewnić, że z niego byłby bardzo kiepski sułtan... Pozbytoby się go bardzo prędko, czego ja niestety nie mogę uczynić!...

— Może być!... pan Karol na to. — Pani radczyni ma zawsze racyę, wiem, napewne musi być tak, jak pani mówi!... Żal mi w takim razie pani radczyni. Pomocy w każdym razie nie odmówię!...



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Lloyd George to chłop całkiem na swojem miejscu, choć uparty, niczem Rusin. Ubzdurało mu się, bym siedział w Anglii, dopóki nie będzie gotowy tunel pod kanałem *la Manche*.

— Jak to będzie pięknie wyglądało — mówił do mnie — gdy gazety doniosą, że pierwszą osobą, która przejechała do Francyi był Klapa!

— Bardzo ładnie! — ja mu na to. — Ale kiedy to mogłoby nastąpić?

— Kiedy?... Hm!... Tego ci powiedzieć nie mogę. W każdym razie projekt jest już gotowy, a u nas takie rzeczy idą, jak się wyraża Petlura, *w try migi*.

— Już ja wolę nie czekać!... Sparzyłem się na kanale Dunaj—Wisła, choć nie tylko projekt był gotowy, ale roboty zaczęto...

— Ale Anglia to nie Austrya!... U nas, jak się zawsze wyrażał wasz nieodżałowany Aron Gajer, *ein Wort, ein Mann!*

Skończyło się ostatecznie na tem, że nie przekonałem go, iż Gdańsk należy się Polsce, ale wreszcie zgodził się na mój wyjazd, zwłaszcza gdym mu oświadczył, że jadę do Paryża, aby złożyć uszanowanie panu Dechanellowi. Kazał mu się nawet kłaniać i Milleranda pozdrowić.

Pożegnaliśmy się serdecznie (nie całowaliśmy się, gdyż obaj mamy katar...), na drogę dał mi butelkę gorzkiej, ale nie wódki, lecz wody, czego zupełnie nie potrzebuję, gdyż moje sprawy wewnętrzne są stale w zupełnym porządku. Wobec tego flaszkę rzuciłem do morza, które, choć było bardzo wzburzone, zaraz się uspokoiło. Z czego dowód, że gorzka woda nawet morskim bałwanom dobrze robi.

W Calais wysiadłem na ląd stały, skąd udałem się prosto do Paryża. Czy północna Francya jest bardzo zniszczona, tego nie wiem, w drodze nie wyglądałem przez okno wagonu, bojąc się, aby nie wypaść, jak się to niedawno zdarzyło panu Dechanellowi. Nic mu się złego nie stało, ale, aby mieć takie szczęście, trzeba być albo prezydentem Francyi, albo upaść na trawnik. Ja zaś prezydentem nie jestem, a przy mym pechu jestem pewny, że trafiłbym akurat na kupę kamieni. I potem czytałby Kraków telegram: „Powrót pana Klapy z dyplomatycznej podróży z rozbitym nosem"... o ile inne części ciała także nie ucierpiałyby na tem.

W Paryżu stanąłem, jak zwykle, w hotelu „pod Korniszonem", dokąd zajeżdżają zwykle dyplomaci. Sądziłem, że spotkam tutaj kogo, kto mnie poinformuje, co słychać z mym przyjacielem, emerytowanym królem czarnogórskim, który przed kilku miesiącami zachorował i dotąd nie spotkałem go w żadnem piśmie z wzmianką o nim. Ale takie to losy królów. Póki siedzi na tronie, cały świat się nim interesuje, gdy zeń zejdzie, nikt o nim nie wspomni. Wobec tego nie chcę być królem, nawet... kurkowym.

W paryskich hotelach łatwiej o pokój, niż w Krakowie, portyerzy są grzeczni, i, choć drą skórę z gościa, ale jakoś delikatniej.

Może w półgodziny najwyżej po zainstalowaniu się „pod Korniszonem" zapukał ktoś do drzwi numeru.

Na zaproszenie wszedł jakiś jegomość, którego widziałem po raz pierwszy w życiu, i, wyciągając do mnie rękę, rzekł:

— Czy mam przyjemność z panem Klapą?

— Jam jest! — odpowiedziałem z godnością.

— Dr Benesz!... — mówił w dalszym ciągu. — Jakże się cieszę, że drogi nasze zeszły się w Paryżu. Dawno już pragnąłem poznać pana. Tyle o nim słyszałem!... Ja tu bawię w celach politycznych. Chciałem przekonać pana Milleranda, że my, Czesi, mamy wobec Polaków jak najlepsze zamiary. Niech nam tylko oddadzą Cieszyńskie, wszystko będzie w porządku... A pan także w Paryżu, jeśli można wiedzieć, w politycznych sprawach?

— Tak i nie!... — ja mu na to, bo i cóż go to obchodzi, po co ja tu przyjechałem.

— Pan łaskawy nie jest przypadkiem Czechem? — pytał dalej, gdym mu wskazał miejsce na fotelu. — Z szanownego nazwiska sądząc...

— Nie wiem — odrzekłem — jaka tam krew płynie w mych żyłach, ale mogę pana upewnić, że muzykalny nie jestem i nic dotąd nie ukradłem... Lubię wprawdzie knedle ze słoniną, kwargle. .

— A piweczko?...

— O ile jest dobre!...

— To doskonale!... Już czuję, że się bardzo prędko porozumimy... Panie Klapa!... Gdzie ta dawna przyjaźń czesko-polska?... Czy to tak dawne czasy, jak całowaliśmy się na jubileuszu *Narodnego Divadla*?... Co ta nieszczęsna polityka narobiła!... Pamiętam, jak dziś, jak wasz Prokesz całował się z jednym z naszych działaczy społecznych... Prokesz wysoki, tamten niski... Ile razy chcieli sobie dać buzi, musiał Prokesz przykucnąć, albo tamten wyłazić na stołek!...

— Można się było obejść bez tego...

— O nie! Polsko-czeskie sympatye musiały być ostentacyjnie zamanifestowane, aby świat cały widział, jak się Słowianie miłują wzajemnie...

— Ja też nie do tego dążę!... Niechby się i całowali, skoro im to taką przyjemność czyniło, ale dla uproszczenia mógł ów Czech pocałować Prokesza niżej... Nie byłby potrzebował wyłazić na stołek, ani Prokesz się schylać... Słowiańskie braterstwo nie byłoby na tem zupełnie ucierpiało...

— To sem prawda!... Panie Klapa, pan ma recht!... Ale ja panu nie chcę zabierać...

— U mnie niema nic do zabrania! — odpowiedziałem, przypominając sobie, że mam Czecha przed sobą.

— Ja myślę, czasu — tłumaczył. — Bo ja wiem, że pan dobrodziej dopiero przyjechał z Londynu. Ale ja poproszę jutro o kwadransik rozmowy... Pan mi będzie musiał przyznać racyę, bo i czegóż my żądamy?... Ja już o tem mówiłem z panem Millerandem... Cieszyn przecież czeski, więc się nam należy, chcemy wspólnej granicy z Rosyą i dostępu do morza...

— Tylko tyle?... Nic więcej?...

— Na razie tyle!... Potem przyjdzie kolej na resztę...

— Co wam po dostępie do morza, skoro już macie swoje, czeskie...

— Co sem pan mluvi?... Pan to słyszał od Lloyd George'a?... Bo to nasz przyjaciel!... A które to morze?...

— To, na którem są wyspy złodziejskie!...

Na tem skończyliśmy, jutro dalszy ciąg. Po odejściu gościa, przekonawszy się, że zegarek i portfel są na swojem miejscu, położyłem się spać, zwłaszcza, że byłem zdrożony, a pluskiew tu brak.

O czem mówiliśmy zresztą w Paryżu, doniosę w następnym liście... Na razie

au revoir

Klapa.

Niedowierzająca.

(Z rozmów szwajcarskich tułaczy.)

— Moja Zytko!... Ja muszę jechać na Węgry!... Interes nasz wspólny tego wymaga!

— Dobrze!... Ale albo z tobą pojadę, albo zgodzę się tylko pod tym warunkiem, że drogę tam i z powrotem odbędziesz w samolocie...

— A to z powodu?...

— Z powodu, że cię znam dobrze i wiem, że po drodze wstąpiłbyś do każdej karczmy... Lecąc zaś w powietrzu, nie znajdziesz do tego sposobności!...

Spółka.

(Podsłuchane).

— Czy słyszałaś?... Jan i Tomasz założyli spółkę. Jan dał pieniądze, Tomasz doświadczenie!

— Epilog zaś będzie jak zwykle w podobnym wypadku. Po latach się pokaże, że Tomasz ma pieniądze, a Jan doświadczenie!

Osioł i niezapominajka.

Słuchaj jaka ładna bajka:
Nad strumykiem raz wyrosła,
Modra niezapominajka
I wzbudziła miłość — osła.

„Wszakże miłość — to nie zbrodnia,
„Miłość serce mi przenika,
Rozumował osioł co dnia,
Chodząc pić tam u strumyka.

Póty chodził ponad wodę,
(Choć jej prawie nigdy nie pił),
Póty wielbił jej urodę,
Aż językiem kwiat zaczepił.

„Jaki świeży! aż pokusa!
„Ach! miłości na zadatek,
Muszę lubej dać całusa!..."
Rzekł i połknął cały kwiatek.

Nie wierz, nie wierz biedny kwiatku
Zapewnieniom lada osła,
Bo cię spotka na ostatku,
Los — tej co nad wodą rosła!

Gdzie szukać prawdy.

Wiadomo, że Wasyl Wyszywany, syn pana Karola Stefana, właściciela browaru w Żywcu, nie stracił dotąd nadziei, że zasiędzie na tronie ukraińskim.

Ale jakoś nie ma do tego szczęścia, stale napotyka na różne przeszkody.

Ostatnio odbyła się z tego powodu w Lipsku wielka narada polityków ukraińskich, w której wziął udział Wasyl, Skorpadski, rodowity kozak hr. Lariczenko (Larisch...) i inni. W obradach wziął udział i nasz przedstawiciel, który miał to szczęście, że rozmawiał z przyszłym królem Hajdamaków.

— Kiedyż zatem wasza arcyksiążęca mość — pytał nasz sprawozdawca — zasiędzie na tronie?

— Tego ściśle określić nie mogę — odpowiedział. — Jest znowu niespodziewana przeszkoda...

— I to ważna?

— Nie tyle ważna, ile bolesna!

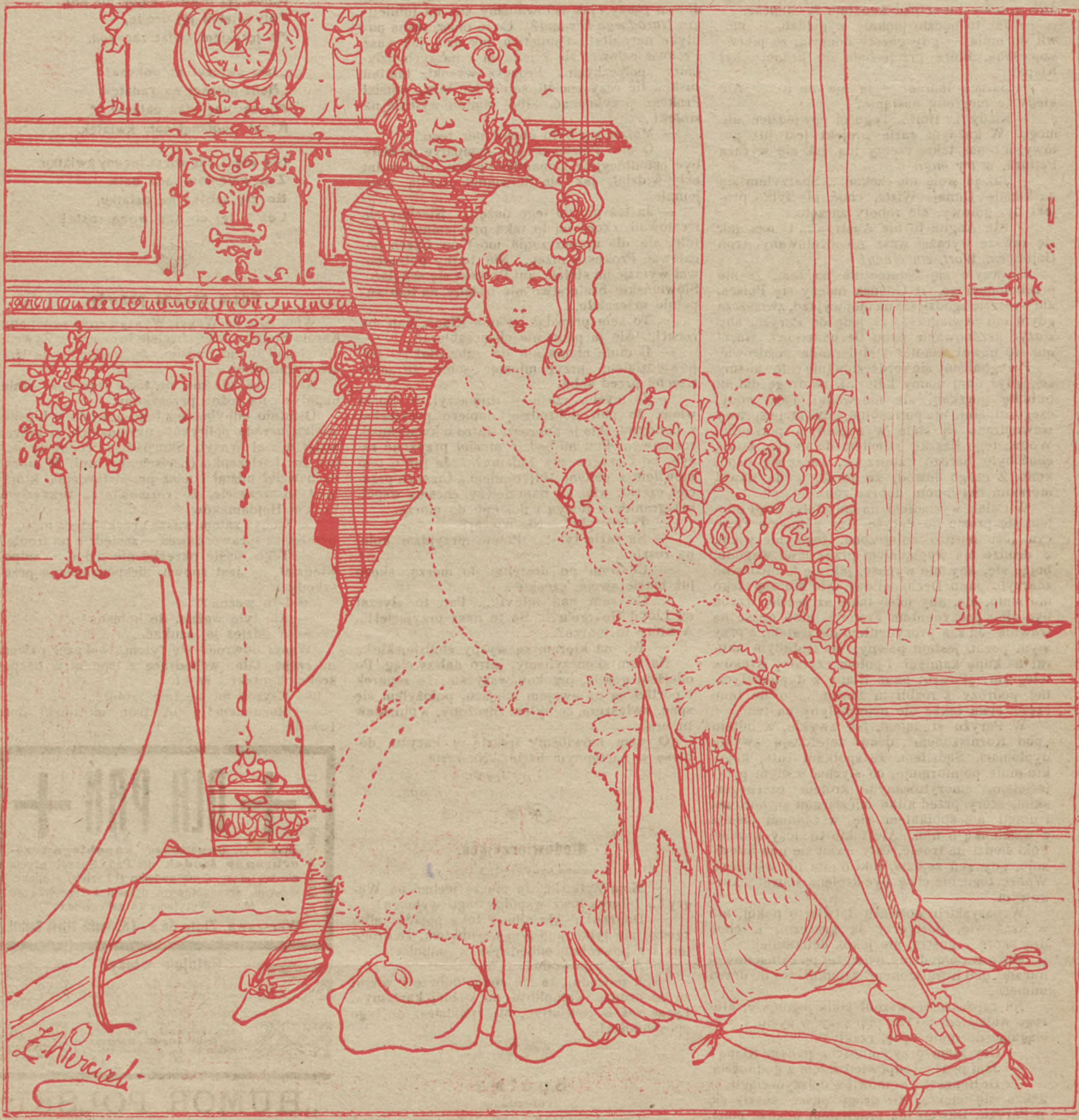
— A gdzież jej szukać...

Wasyl odwrócił się tyłem, wskazał palcem na część ciała, wchodzącą z tronem w bezpośredni kontakt i rzekł:

— Czyrak mi się tam zrobił!...

— Rozumiem!... A tron ukraiński dość twardy...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Kraczmarskiego.



TROSKI SERENISSIMUSA:

N. Pan: Pierwszym obowiązkiem panującego jest utrwalenie dynastyi.

N. Pani: W takim razie przyjmij N. Panie na dwór swój jakiego młodego majordomusa.